TYGODNIK
POWIEŚCIOWO-NAUKOWY.

WYCHODZI CO CZWARTEK KAŻDEGO TYGODNIA.

W. DYNIEWICZ, WYDAWCA I WŁAŚCICIEL, 532 NOBLE STREET, CHICAGO, ILLS.

PRENUMERATA ROCZNA WYNOSI:

DLA NAPRZÓD PŁATNYCH ABONENTÓW „GAZETY POLSKIEJ"	DLA TYCH, KTÓRZY NIE ABONUJĄ „GAZETY POLSKIEJ"
W Stanach Zjednoczonych i Canadzie $1.00	W Stanach Zjednoczonych i Canadzie $2.00
Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej i Azyi 1.50	Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej i Azyi 2.50

PRENUMERATĘ PRZYJMUJE SIĘ JEDYNIE NA CAŁY ROK, I MUSI BYĆ NAPRZÓD OPŁACONĄ.

Entered at the Post-Office at Chicago, Illinois, as Second-Class Matter.

No. 45. *Chicago, Ills., 6 Maja, 1886 r.* Rok II.

OPACTWO CARROW

— PRZEZ —

J. F. SMITH

Z ANGIELSKIEGO

CZĘŚĆ DRUGA:

KWIAT ALOESU

(Ciąg dalszy.)

Zapał i szczerość, stanowiące jedyną zaletę tych słów, byłyby mogły dostatecznie wpłynąć na przekonanie słuchaczów, gdyby jeszcze jaka wątpliwość istniała w tym względzie. Henryk uśmiechnął się do swojego poczciwego przyjaciela, który uważał uśmiech ten jako poświadczenie swej rzetelnej i poczciwej prostoty.

Wtedy zgodzono się na wprowadzenie świadka, aby złożył swoje zeznanie.

Doktor Orine zadzwonił dwukrotnie. Na to hasło, umówione poprzednio, otworzyły się podwoje, i sędziwy Marcin, wsparty na ramieniu dwóch chirurgów, ukazał się w progu.

Twarz starego masztalerza niezmiernie pobladła wskutek doznanych cierpień w czasie operacyi, ale oko jego patrzyło jasno i rozumnie, a zaciśnięte wargi znamionowały jakieś silne postanowienie i stanowczą wolę.

U ludzi mających pomięszanie zmysłów, lub najlżejszemu ulegających obłąkaniu, nie wi-

dać nigdy prawie, lub nader rzadko, aby mieli zaciśnięte usta.

— Dziękuję ci, master Harry, mocno panu dziękuję! — wyjąknął starowina, kiedy nasz bohater z synowską prawie troskliwością zaprowadził go do wygodnego krzesła poręczowego, które dlań stało przygotowane.

Usiadłszy, utkwił wzrok przenikliwy w Sidelera, i już do końca śledztwa nie spuścił zeń oczu.

Na zapytanie pułkownika Butler, dwaj lekarze odpowiedzieli, że ich pacyent w zupełności odzyskał używanie rozumu, i że jest w możności złożenia swoich zeznań.

Było coś przerażającego w tym dźwięku dobitnym, wyraźnym, prawie nadludzkim głosu starca, gdy opowiadał wszystko co się owej pamiętnej nocy wydarzyło.

Zaczął od opowiadania, jak miss Ellena przelękła się w galeryi obrazów familijnych, wskutek czego postanowił czuwać co noc, przechadzając się po różnych komnatach zamkowych.

— Sądzę, — przerwał pułkownik Butler, — że Opactwo Carrow, podobnie jak większa część starożytnych zamków, zawiera mnóstwo przechodów i kryjówek tajemnych, o których istnieniu mało kto prócz ciebie wiedział.

— Tylko jeden człowiek podzielał ze mną tę wiedzę! — odpowiedział Marcin.

— Któż taki?

— Will Sideler. Ojciec jego, dawny sługa rodziny Mowbrayów, pokazał mu był niektóre z tych schowków i wejść ukrytych... ale nie wszystkie, dodał z lekkim uśmiechem zadowolenia, — nie wszystkie, dzięki Bogu!

Bez wątpienia stosował to do tych kryjówek, gdzie za jego pomocą nieboszczyk baronet zachował swój testament wraz z klejnotami spadkowemi i dokumentami swych rozległych majętności.

— Czy masz podejrzenie na kogo, ktoby mógł przestraszyć miss Ellenę de Vere w galeryi wizerunków rodzinnych? — zapytał sir Jasper Pepper.

— Tak jest, na Willa Sideler!

— Jakież więc środki ostrożności przedsiębrałeś naówczas? — dodał pułkownik Butler.

— Czuwałem po całych nocach, jak stary pies na straży, aby ochronić tych, którzy go karmią i przytułek dają! Tyle tylko mogłem uczynić, aby moją wierność dowieść, bom już stary i do niczego niezdolny!

— Cóż się więc stało tej nocy, kiedy popełniono zabójstwo?

Dwa razy stary sługa próbował przemówić, ale nie mógł dla silnego wzruszenia na wspomnienie okropnych wypadków, i podniósł do czoła dłoń pomarszczoną. Henryk uścisnął mu ją czule w swej ręce a ten objaw współczucia i przychylności dodał staremu nowej odwagi i siły.

— Szedłem przez galeryę portretów, — zaczął, — która za pośrednictwem tajemnego krużganku, po pod główne schody prowadzącego, łączy się z biblioteką. W obudwu tych salach wejście do owego skrytego korytarza jest zasłonięte taflą dębową rzeźbami zdobną, która się otwiera za pociśnięciem sprężyny.

— W jakiej porze byłeś w galeryi?

— Właśnie po uderzeniu dwunastej godziny w nocy.

— Czy wszyscy w zamku poszli na spoczynek?

— Tak jest, rozeszli się na spoczynek; mój pan tylko siedział jeszcze w bibliotece, zajęty czytaniem.

— Mówże co dalej nastąpiło.

— Kiedym więc przechodził wzdłuż galeryi, usłyszałem skrzypnięcie właściwe, jakie sprawia raptowne zamknięcie sprężyny wspomnianej. Przytknąłem ucho do dębowej ściany i mniemałem słyszeć oddalające się kroki. Kilka minut czekałem, zastanawiając się czy iść w ślad za tym nieznanym przybyszem, czy pobudzić domowników. Gdybym był usłuchał tego ostatniego natchnienia, dobry mój pan byłby może jeszcze przy życiu.

Wszyscy obecni podzielali żal starca. Nie mogli mu jednak nic mieć do zarzucenia; mało kto na jego miejscu byłby się zachował tak roztropnie, i przytomnie jak on w tej okoliczności. Obżałowany, w głębi duszy, więcej może niż ktokolwiek, żałował, że sędziwy sługa nie narobił hałasu, dla zwołania domowników na ratunek baroneta.

— Otworzyłem rzeźbioną taflę, — mówił dalej Marcin, — i nadsłuchując bacznie, przeszedłem korytarz. Doszedłszy do małego sklepionego przysionka między galeryą a biblioteką, usłyszałem jęk głuchy, Och! ten jęk aż do głębi serce mnie przeniknął. Skoczyłem naprzód;

drzwi na końcu korytarza były zamknięte; ręka mi tak drżała, żem na sprężynę natrafić nie mógł; spojrzałem przez szczelinę, i ujrzałem pana, mojego poczciwego, dobrego pana, ojca ubogich, kochanego i poważanego od wszystkich co go znali, ujrzałem go siedzącego jak zwykle w swoim krześle o wysokich poręczach. Człowiek jakiś, — tu oczy Marcina zaiskrzyły się jak pochodnie, zwrócone na więźnia, który pod urokiem tego spojrzenia truchlejąc, odwrócił oblicze od opowiadającego, — człowiek ten schwyciwszy swoją ofiarę lewą ręką, trzymał w prawej nóż zbroczony we krwi sir Williama... o Boże!... dostałem zawrotu!...

Przygnębiony bolesnem przypomnieniem, wierny sługa pochylił się na tylną poręcz krzesła, wydając ciężkie westchnienie.

Z razu mniemano, że ducha wyzionął, a oczy Willa Sidelera nagłą zajaśniały radością, bo oskarżyciel nie wymienił nazwiska skrytobójcy do tego czasu.

Upłynęło kilka minut, nim Marcin dał znak życia. Jednak amoniak i kieliszeczek starego wina otrzeźwiły go nareszcie, a potem jeden z chirurgów oznajmił urzędującym, że badanie może się dalej prowadzić.

— Kiedy pierwszy raz ujrzałeś zabójcę sir Williama, — odezwał się pułkownik Butler, — czy był plecami do ciebie obrócony?

— Tak, rzeczywiście.

— Czyś potem nie zobaczył go z twarzy?

— Owszem, tak wyraźnie, jak teraz panów tu zgromadzonych widzę.

— A poznałeś go.

— Poznałem natychmiast, nim jeszcze dostrzedz mogłem jego rysy, bo przez długie lata żyliśmy chlebem tego samego pana.

— Wymień że nazwisko tego zbrodniarza!

Chwilę panowała głęboka cisza. Każdy wiedział prawie naprzód, jaka będzie odpowiedź; lecz każdy chciał ją usłyszeć.

Wtedy z wysileniem, jakiego niktby się po nim nie spodziewał, Marcin powstał z krzesła bez niczyjej pomocy, postąpił krok naprzód i wyciągając ramię ku więźniowi, wymówił dobitnie: Will Sideler!

Zimny pot wystąpił na twarz zabójcy, a jego twarde siwe włosy, najeżyły się ze strachu. Przez kilka sekund nie był zdolny słowa jednego wymówić. Wyrazy cisnęły mu się do ust, ale głos zamierał mu w gardle, jakby go kto dusił.

Wszyscy obecni spojrzeli na jego szkliste nieruchome oczy; nikt nie przerywał ponurego milczenia; wszyscy skamienieli, jakby na widok głowy Meduzy.

— To kłamstwo! — ryknął Sideler, usiłując napróżno oswobodzić się z pod wrażenia tego uroku złowrogiego, co niby zmora ciężył mu na piersiach. — Ja wówczas daleko byłem od Opactwa Carrow!

— Will Sideler! — powtórzył Marcin, ciągle stojąc z ramieniem ku niemu wyciągniętem.

— Ty byłeś zawsze mym wrogiem! — odezwał się ochrypłym głosem królikarz. — Przez ciebie straciłem miejsce w domu sir Williama! Z twej to przyczyny okazywano mi oziębłość i niechęć! Przez długie lata nienawidziłeś i prześladowałeś mnie! Może ty sam go zamordowałeś, aby na mnie zwalić tę zbrodnię!

Na to potworne oskarżenie stary Marcin nic nie odpowiedział, tylko się ze wzgardą uśmiechnął. Po raz trzeci powtórzył: Will Sideler! poczem powoli zsunął się na krzesło, prawie bezwładny.

Żaden z obecnych nie powątpiewał o prawdomowności starca. Bóg nie na to pozwoli mu odzyskać rozum, aby miał kłamstwem po raz pierwszy w swojem długiem życiu plamić swą starość.

— Czy czujesz się dość silnym, abyś mógł nam opowiedzieć, co się stało po dokonaniu morderstwa? — zapytał go rektor.

— Otworzyłem drzwi, — mówił świadek, — nie wiem już jak tego dokazałem; zdaje się, że musiałem je podważyć, dosyć że je otwarłem. Chociaż za późno już było ocalić mego szlachetnego pana, pragnąłem pomścić się jego zgonu!... Nastąpił bój między nami; uczułem oddech zabójcy na mej twarzy, potem.. potem już nie pamiętam co dalej było. Domyślam się, że silne uderzenie w głowę otumaniło mnie i wszelkiego pozbawiło czucia.

— Czy sobie przypominasz, ile czasu upłynęło od tego zdarzenia?

— Nie. Mówiono mi, że już dużo tygodni. Mniemałem że to było przed kilku dniami.

— Czy także nie wiesz gdzie byłeś przez ten cały czas?

— Tutaj przecież, na plebanii... — odpo-

wiedział Marcin z zadziwieniem. — Gdzież miałem być jak nie tu?

Te odpowiedzi przekonały widocznie, że czas upłyniony od śmierci sir Williama, aż do chwili, kiedy Marcina wyleczono z obłąkania, przeminął dla niego bezwiednie. Nie pamiętał ani o swojej umysłowej słabości, ani o przebywaniu w domku zakrystyana.

Następnie wypytywano znowu Jarmy i sług którzy pierwsi zobaczyli martwe ciało sir Williama i wiernego sługi. Opowiedzieli, w jakim stanie znaleźli ostatniego i jak byli zdziwieni, nie odkrywszy nigdzie śladu ucieczki zbójcy, w skutek czego mniemali z początku, że śmierć baroneta należało samobójstwu przypisać.

Po cichej naradzie z kolegami, pułkownik Butler zapytał obżałowanego, czy ma co do powiedzenia, czemu ten zaprzeczył.

— Obżałowany! — odezwał się doń pułkownik, — postanowieniem tego sądu jest, żebyś został odesłany do twierdzy Norwich, jako oskarżony o skrytobójstwo, popełnione na osobie twego dawnego pana, sir Williama Mowbray!

— Ja tam iść nie chcę! — krzyknął z wściekłością zbójca, — nie macie prawa odsyłać mnie tam! To wszystko jest tylko czarny podstęp, uknuty dla odjęcia mi życia! Odeszlijcie mnie do Newgate! Uciekłem ztamtąd przed kilku dniami dopiero! Powiadam raz jeszcze, że ja chcę do Newgate wracać!

Odpowiedziano mu, że niniejsze oskarżenie jest daleko większej donioślości, niż skarga zaniesiona wprzód przez pana Elworthy i dla tego nie można do jego żądania przychylić się.

— W takim razie pozwólcie, bym złożył rękojmię! — odezwał się znowu złoczyńca. — Łatwo mogę ją zapłacić! Mam przyjaciół, bardzo bogatych przyjaciół, którzy się ujmą za mną! Mogę złożyć tysiąc funtów szterlingów poręczenia!

Sir Jasper Pepper miał właśnie wyjaśnić więźniowi, że żadna poręka nie może mieć miejsca, jeśli idzie o zbrodnię morderstwa, gdy doktor Orine, któremu Henryk Ashton parę słów szepnął do ucha, przerwał mowę dyrektorowi Kompanii wschodnio-indyjskiej pytając obżałowanego o imię osoby, którąby mogła ręczyć za niego.

— Jest to człowiek bardzo bogaty, — odpowiedział rozbójnik skwapliwie chwytając się tej nadziei, jak tonący brzytwy; — jest on tak bogaty, że miałby czem was wszystkich przekupić!

Twarze wszystkich obecnych wyrażały zdziwienie, prócz rektora i naszego młodego bohatera.

— Jakże się zowie ten bogacz? zapytał pułkownik Butler łagodnie.

— To ten młody Indyanin, bogaty Miran-Hafaz!

Westchnienie głębokie bolesnego zaspokojenia wydarło się z piersi Henryka; domysły jego potwierdzone zostały.

— On nie będzie ręczyć za ciebie, — szepnął Joe półgłosem do więźnia, — on tak czyni jak djabeł, co pierwej popycha człowieka do grzechu, a potem odstąpi go w złym razie!

Oświadczono wtedy więźniowi, że w obecnym wypadku żadne poręczenie przyjętem nie będzie, choćby jak największą kwotę chciał złożyć.

— Czy nie odwołalnie myślicie mnie do Norwich wyprawić?

— Tak jest, nieodwołalnie!

— A więc ja nie chcę sam jeden tam być posłany! — zawołał więzień stanowczo. — Jeżeli mnie powieszą, to muszę ginąć w towarzystwie. W tej sprawie jest drugi zbrodniarz, gorszy odemnie!

— Jak się nazywa?

— Miran-Hafaz! Byłem biedny, a on mnie złotem swojem skusił; namówił mnie, bawiąc u sir Jaspera; mówił ze mną o sir Williamie.

— Przyznajesz tedy, żeś zamordował go za namową tego Mirana? — zapytał Henryk.

— Nie! nie!... — odparł skwapliwie nędznik, nie tracąc jeszcze całej swej przebiegłości, — ja tego nie mówię, powiedziałem tylko, że ten Indyanin namawiał mnie do tego. Odmówiłem, naturalnie, nie chciałem brać żadnego udziału w tej sprawie; bardzo być może, iż udał się z tą propozycyą do kogo innego... kto wie, czy nie do tego starego oszusta... — dodał, pokazując na Marcina.

To na pozór niedorzeczne przypuszczenie wywołało śmiech u wszystkich przytomnych.

Usłyszawszy z razu imię Mirana, jenerał Bouchier i sir Jasper Pepper znacząco spojrzeli na siebie z wyrazem szczerego zdumienia. Ale gdy królikarz zaczął opowiadać, jak Indy-

anin namawiał go do popełnienia zbrodni, o którą jest oskarżony, uważali za obowiązek bronić swego młodego przyjaciela. Jenerał wprowadził go i przedstawił arystokracyi w Londynie, a dyrektor Kompanii wschodnio-indyjskiej przyjmował go w swoim domu jako gościa znakomitego. Obydwa więc czuli się nieprzyjemnie skompromitowanymi.

— To oskarżenie, moi panowie, jest tak śmieszne, — przemówił jenerał, — tak widocznie jest wynikiem jakiejś zawiści i haniebnej potwarzy, że nawet nie zajmowałbym się tem ani na chwilę, gdyby Miran-Hafaz nie był moim przyjacielem, czyli właściwie, gdyby nie był mi zalecony przez przyjaciół, w którym nieograniczone pokładam zaufanie. W Indyach ten młody cudzoziemiec nosi tytuł księcia.

Nikt nie odezwał się na to, bo nikt prawdopodobnie nie podzielał przekonania jenerała.

— Posiada ogromny majątek, — dodał dyrektor Pepper.

— O, to wielka prawda! — przerwał Sideler, szydersko się uśmiechając, — że bogaty, to rzecz niezawodna!

— Młodzieniec tak zacnego rodu, — mówił jenerał, — tak godny ze wszech miar!

— Tak niezmiernie bogaty! — dorzucił sir Jasper.

— Co za powód miałby do tego?... — mruknął jenerał.

— Jaki powód? — przerwał Joe Beans, nie mogąc dłużej powstrzymać swego oburzenia. — Ja panom zaraz wyłuszczę ten powód. Indyanin zakochał się w miss de Vere, która go nie chciała wzajemnie kochać. Zmówiwszy się z pułkownikiem Mowbray, zabrali ją do Cromwell-House, i tam ją mimo jej chęci więzili. Jestem przekonany, że zabójstwo nie wstrzymywałoby go wcale, byle dopiął swego zamiaru.

Jenerał i sir Jasper usiedli z widoczną niechęcią. Te kilka słów uczciwego wieśniaka nowe światło rzuciły na powody postępowania młodzieńca indyjskiego.

— Ależ to rzecz djabelnie przykra! — szepnął jenerał do dyrektora, który tylko ruszył ramionami z miną dosyć dwuznaczną.

Odczytano głośno zeznanie Marcina i innych domowników zmarłego baroneta, które następnie w obecności obżałowanego podpisali, tego ostatniego zaś rozkazał pułkownik Butler niezwłocznie do twierdzy Norwich zawieźć. Mayes i Kemp, dwaj dobrze znani ajenci policyjni, czekający na niego, zjawili się w tej chwili i założyli kajdankami na ręce Sidelera, nim jeszcze miał czas o najmniejszym pomyśleć oporze.

— Chodźmy! — rzekł Kemp, kładąc rękę na ramieniu więźnia, — kabryolet stoi przed drzwiami.

— Ja nie chcę jechać! — wyjęknął nędznik, — jam nic nie wyznał, nic nie zbroiłem, jestem niewinny, zapewniam, żem nic nie winien!

— Wiemy o tem bardzo dobrze, — odpowiedzieli ajenci z najobojętniejszą miną, i bez dalszych ceremonii wywlekli go z pokoju.

Skoro Marcina odprowadzono dla wypoczynku do komnaty dlań przeznaczonej, pułkownik Butler podał wniosek swoim kolegom, aby niezwłocznie wydać drugi rozkaz aresztowania Miran Hafaza; jenerał i sir Jasper mocno się temu sprzeciwiali; zdania były podzielone, gdy w tem Henryk Ashton zażądał, aby wysłuchano jego zeznania.

W krótkich słowach skreślił doznane przygody we Włoszech, zamilczając wszelako wszystko, co się tyczyło lady Mowbray, nieszczęśliwej małżonki sir Williama. Ze zgrozą słuchano opowiadania o zabiciu Waltera, ale ta zgroza przeszła w najwyższe oburzenie, kiedy przedłożył wyznanie esquira Roberta Martingale, tajemnego wysłannika Mirana, i nikt już nie opierał się wydaniu rozkazu, aby Indyanin został przytrzymany.

XXXI.

Po rozjechaniu się urzędników, Henryk zeszedł do ogrodu gdzie się znajdował doktor Orine, i oświadczył, że ma zamiar upomnieć się u pułkownika Mowbray o Ellenę. Zacny rektor, nie mając ochoty rozłączać się tak prędko ze swym przybranym synem, nalegał aby się wstrzymał, zapewniając, że pan Elworthy daleko snadniej może się zająć oswobodzeniem miss de Vere i wydaniem Mirana w ręce sprawiedliwości.

— Mój ojcowski przyjacielu! nie miej mi za złe, ale moje postanowienie jest nieodwołalne. Ta myśl, że moja narzeczona jest w mocy mego nienawistnego rywala, jest jak żmija, szarpiąca mi serce, jak zmora, sen mój trapiąca.

Och, muszę ją szukać! Może być, że to będzie bezskutecznem, ale gdybym tak czekał w nieczynności, czuję, że oszalałbym z tęsknoty! Ta niepewność dręczy mnie niewypowiedzianie!

— Szukaj jej więc, — odparł sędziwy przyjaciel jego, — a łaskawe Nieba niech kierują twemi krokami.

— Już je pokierowały! — zawołał tuż obok głos poważny i spokojny.

Odwrócili się z zadziwieniem i ujrzeli Khana i dzierżawcę.

— Co te wyrazy mają znaczyć? — zapytał młodzieniec.

— Że musisz pozostać w Carrow, jeżeli chcesz znaleźć tę którą myślisz szukać!

— Wytłumacz się jaśniej, człowiecze tajemniczy! — przemówił Henryk. — Dotychczas zawsze tylko ciemną i ledwo nawpół zrozumiałą była twa mowa, a przecież sądzę, że chęci twoje są mi życzliwe.

— Rzeczywiście, względem ciebie przynajmniej, — odrzekł z westchnieniem Khan. — Dowiodłem tego kosztem niejednej ciężkiej walki. Ale nie mówmy już o tem. Szukasz siostrzenicy sir Williama Mowbray?

— Ach tak, pragnę ją wynaleźć!

— I dałbyś wiele za to, gdybyś się mógł dowiedzieć, gdzie przebywa?

— Życiem opłaciłbym widzenie się z nią! — zawołał młodzian skwapliwie.

— Tak wielkiej ofiary nie trzeba, chciej tylko przez parę godzin poskromić twą niecierpliwość... Patrzysz na mnie tak, jak bym cię miał zwodzić!...

— Możesz zaufać słowom jego, Harry, — odezwał się Maciej Ashton, biorąc synowca za rękę, — on cię nie oszuka.

— Więc go stryj zna?

— Tak jest.

W Henryku obudziło się znowu podejrzenie, iż ten tajemniczy cudzoziemiec jest jego ojcem; wszelako nie czuł ku niemu tego silnego, niewytłumaczonego popędu, tej sympatyi serdecznej, która bezwiednie częstokroć między dzieckiem a ojcem istnieje.

— Przypatrywał się kolejno to dzierżawcy, to jego towarzyszowi, lecz nie znalazł między nimi żadnego podobieństwa, ani w rysach twarzy, ani w dźwięku głosu, któreby świadczyło, że są braćmi, a to spostrzeżenie było dla niego wielką ulgą.

— Czy i ty także, stryju, — rzekł Henryk, — chcesz mnie dręczyć tą zagadkową niepewnością?

— Wszak to przez wgląd na twoje własne dobro, Harry, i tylko przez kilka godzin; miejże cokolwiek cierpliwości!

— Jak długo potrzeba czekać?

— Aż noc nadejdzie, — odpowiedział Khan. — Jestem związany okolicznościami, które niekiedy równie działają przeważnie, jak potrzeba nieodzowna.

— Niechże i tak będzie! — zawołał kochanek Elleny, pokrzepiony nieco na sercu nadzieją ujrzenia wkrótce narzeczonej. — A niech panu Bóg nie pamięta, jeżeli mnie uwodzisz!

— On cię z pewnością nie zawiedzie, — powtórzył Maciej Ashton. — Czy myślisz że powierzyłbym twe szczęście, od którego i moja spokojność zawisła, komu innemu jak...

Tu się wstrzymał; spojrzenie renegata nakało mu milczenie.

— No cóż chciałeś pan mówić? — zapytał rektor Orine.

— Komu innemu jak człowiekowi, o którego przychylności mam silne przekonanie, — dodał stary dobitnym głosem.

— Teraz chodzi o to, — odezwał się Khan, — żeby wezwać na pomoc dziesięciu lub dwunastu ludzi, na których wierność i odwagę spuścić się można.

— W jakim że to celu? — zapytał chciwie Henryk.

— Dowiesz się zaraz. Nie mogę poprzestawać na ufności niecałkowitej; zawierz mi zupełnie, albo wcale nie ufaj.

Uradzono tedy, żeby posłać Joego Beans na folwark Home-Farm i na wieś, dla zgromadzenia tych ludzi i przyprowadzenia ich na plebanią około siódmej godziny wieczór.

— Dwunastu ludzi! stu ich przywiodę, jeżeli potrzeba! — rzekł Joe. — Tylko powiem, że Master Harry Ashton potrzebuje ich usługi, a nie znalazłoby się trzech, coby mu odmówili! Czy mam ich wprost do probostwa wprowadzić?

— Nieinaczej, i to w największej tajemnicy — odpowiedział Khan.

Młody chłopak zapewnił, że rozbije łeb pierwszemu z nich, któryby się słówkiem je-

dnem wyrwał, i dumny z danego mu polecenia, udał się natychmiast w drogę, aby je uskutecznić.

XXXII.

Kiedy Joe opuścił plebanię, zamyślony nad tem, jaki mógł być powód tego zwołania ludzi, przerwał mu jego dumanie głos Rudego Ralfa, siedzącego na poręczy po drugiej stronie gościńca, gdzie na niego czekał.

Od owej sławnej wyprawy do Cromwell-House, dla ułatwienia ztamtąd ucieczki Ellenie i jej pokojowej Zuzi, Red-Ralf towarzyszył Joemu do Carrow, został przyjęty za pastucha u dzierżawcy Ashton i niezmierną ku Joemu okazywał przychylność.

Idąc razem, zbliżyli się do obszaru gromadzkiego, gdy tymczasem cienie przedłużone kilku drzew, tu i owdzie rosnących przy drodze, zapowiadały blizki koniec dnia.

— Co to takiego ma znaczyć? — zawołał Ralf, wskazując na dorożkę wywróconą obok marglowiska, niedaleko miejsca, gdzie Henryk Ashton ocalił życie Ellenie, gdy ją koń w przepaść unosił. — Musiało się komuś wydarzyć nieszczęście.

Obaj przyspieszyli kroku, chcąc zobaczyć, czy mogą być w czem pomocni. Przybywszy na miejsce wypadku, poznali powóz, należący do austeryi pod „Aniołem." Mężczyzna jakiś, dosyć przyzwoitej powierzchowności, oddalał się ztamtąd spiesznie.

Joe z towarzyszem swoim pomogli pocztylionowi podnieść dorożkę i wyswobodzić z pod niej podróżnego. Ten zaledwie stanął na ziemi zdrów i nieuszkodzony, zaczął kląć drogę i woźnicę, łając go, że nie wart taczek wozić.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

DWIE MARYE.

POWIEŚĆ Z DAWNYCH CZASÓW POLSKICH

PRZEZ

FR. XAW. TUCZYŃSKIEGO

(Ciąg dalszy.)

Dym opadł wreszcie cokolwiek... z przerażeniem spostrzegli dopiero Kostrzewscy, co nieprzyjaciel podczas ciemności zdziałał. Skoczyli na nieprzyjaciela i tu zaczęła się dopiero rzeź, bój krwawy, walka na śmierć lub życie. Zachrzęsły topory po czaszkach, poświsnęły przeraźliwie strzały, zaszczękły miecze. Zmieszane dzikie wrzaski bijących się z jękami serca rozdzierającemi rannych i konających, krwawa łuna pożarna, tworzyła istny obraz piekła. W dymie tłukącym się jeszcze po ziemi, nierozpoznać ludzi... tylko niby to cienia zbite w jedną masę, a tylko nad tą masą połyskiwały miecze i topory.

Najeźdźców niepodobna już wstrzymać, ciągle jeszcze wyłomem napływają. Widzą oblężeni, że już zamku nie obronią, postanowili więc tylko drogo własne życie sprzedać.

Każdy dziś bohaterem.

Najgorsza walka wrzała koło murowanego sklepu, o który się Jan z małą garstką walecznych oparł. Stał on nieporuszony, rozsiewając śmierć na około. Ale niestety! już tylko on i dwaj towarzysze pozostali, reszta poległa. W tem przybywa mu Paweł na pomoc. Zaatakowani najeźdzcy z tyłu, obracają się na Pawła, a tymczasem Jan znów ich z tyłu zaatakował. Paweł przedarł się szczęśliwie do Jana i z nowemi siłami rozpoczęto zażartą walkę. Już najeźdzcy chcieli się cofnąć i zostawić Jana i Pawła zwycięzcami, gdy wtem błysnął topór trafną ręką rzucony i zatopił się głęboko w piersi Pawła, który z głuchym jękiem zwalił się na ziemię. Jęknął i Jan z wściekłości, zdało się, że mu sił przybywa na pomszczenie przyjaciela, ale było to tylko chwilowe wysilenie, po którem nastąpiło mocniejsze osłabienie. Już drżąca, bezwładna ręka miała miecz upuścić, gdy Skirmunt na czele kilku ludzi nadbiegł na to miejsce. Zażarta garstka wpada na najezdników, każdy cios śmierć im przynosi... najezdnicy ustąpili, a Skirmunt dobiegł do Jana. Bój się wszczął na nowo. Kostrzewscy walczą niby za wałem, gdyż nagromadzone trupy jakby wałem ich otaczają. Skirmunt nie walczy: dobył z kieszeni rodzaj klucza, poszukał zamku, włożył klucz, zakręcił i brama się otworzyła.

— Bracia za mną, — krzyknął, schwycił Jana za rękę, i garstka ta waleczna w liczbie sześciu, skoczyła w otwór, a równocześnie brama z jękiem i zgrzytem się zawarła... W tej chwili Michał na czele kilkunastu ludzi dobiegał do sklepu.

Skirmunt w ciemności zasunął zaporę, zeszli parę stopni niżej: napotkali drzwi, które się takim samym sposobem otworzyły i zamknęły jak pierwsze

— Stańcie w koło mnie, — rzekł Skirmunt.

Otoczono go wieńcem... nagle ziemia się pod nimi rozstąpiła, i w głąb się zapadli. Pięć głosów przerażenia rozległo się w jaskini, szósty głos, głos Skirmunta, milczał. W tem miejscu, gdzie się zapadli, był kamień ruchomy, który za naciśnięciem sprężyny w głąb się zapadał i znów napowrót wracał, tak że znaku żadnego nie było.

Sześć osób załogi Kostrzewskiej było uratowanych.

Michał, który widział chroniących się do sklepu zakrzyknął z wściekłości, sądząc, że to był sam Kostrzewski.

— Zapalić pochodnie i wyważyć! — krzyknął, — Znaleziemy go chociaż pod ziemią!

Drzwi były na mocną zaporę zamknięte. Zaczęli więc najeźdzcy toporami rąbać, zapora pękła, a drzwi z łoskotem na rozcież się rozwarły... nowe drzwi... znów rozległ się łoskot toporów... i ta zapora uległa. Okazała się dość obszerna jama (właśnie ta sama, w której się znajdował ów tajemny, ruchomy kamień), całkiem ciemna. Ztąd wychodziło troje drzwi: wprost na prawo i na lewo.

Drzwi na prawo ustąpiły po kilku uderzeniach. Była to piwnica, w której prócz kilka próżnych naczyń, nic się więcej nie znajdowało.

Rzucono się do drugich dwóch drzwi.

Wprost znajdujące się ustąpiły najpierw i ujrzano jaskinię z drewnianą podłogą. Pięciu ludzi wskoczyło z pochodniami, lecz skoro tylko weszli, wydali okrzyk zgrozy i znikli pod podłogą... tylko pluśnięcie i syczenie pochodni oznajmiło zgrozą przejętym, że wpadli w wodę. Podłoga bowiem miała takie urządzenie, że tylko w środku do ruchomej belki była przytwierdzoną, niby do osi. Ciężar od drzwi zważył ją, podłoga się usunęła, a nieszczęśliwi znaleźli okropny grób w przepaści napełnionej wodą. Podłoga zaś pozbywszy się ciężaru, wróciła napowrót do poziomego położenia.

Cofnęli się przerażeni towarzysze nieszczęśliwych, a dobijający się do lewych drzwi usłyszeli szelest, niby to syk, niby jęk.

— Tu są, tu są, — zawołano.

Zbiegli się z pochodniami, ciekawie do drzwi się cisnąć, które pod ciosami ustępowały, nareszcie z trzaskiem się rozpadły. Zgroza widzów przejęła!.. Najodważniejsze serca struchlały na widok kłębów wężów, żmii, padalców. Zbudzone gadziny, rzucili się wściekle na dobywających się, wybiegły na dziedziniec, rozsiewając śmierć i zniszczenie pomiędzy struchlałych zwycięzców.

Trudno walczyć przeciwko takiemu nieprzyjacielowi!

Różewscy zbierają się, lecz jaki widok! Po całym dziedzińcu wiją się długie taśmy gadzin — konie rżą i chrapią, coraz więcej pokąsanych wojaków rzuca się, wije i ryczy z boleści.

Michał i stryj jego dopadają koni, by coprędzej uciekać, w tem:

— Jezus, Marya! — krzyknie Błażej, odrywa gadzinę od ręki krwią zbroczonej, a w parę minut powalił się na ziemię, wijąc się w niezmiernych boleściach. Michał skoczył na ratunek.

— Uciekaj! uciekaj! — wołał Błażej.

Już kona.

Zgrozą przejęty Michał siadl na koń, wybiegł coprędzej przez bramę, ale niestety!.. koń chrapnął, dziko wierzgnął, a potem zwalił się na ziemię parę kroków za mostem. Trzy okropne żmije wisiały mu u gardzieli.

Uciekł Michał od tego widowiska sam jeden. Zdala dolatywał go krzyk i jęk pozostałych towarzyszy, a zgliszcza Kostrzewa wysyłały w obłoki dym czarny, zanosząc niby skargę do Stwórcy.

Tak się skończyła uciecha Michała. Z dwustu odważnych mężów on sam jeden nędzne życie uratował. Widoczna kara Boga.

Myślał Michał, że on sam tylko okropnej uszedł śmierci, tymczasem był jeszcze ktoś inny, co także się uratował, a tym był łucznik Kiryłł. Spotkali się w lesie, z którego przed pół doby z innemi marzeniami, z innemi uczuciami i nadziejami pod Kostrzew się podsuwali. Spojrzeli teraz na siebie, jakby się wzajemnie py tając:

— I ty jeszcze żyjesz? — Obaj zniknęli w lesie.

* * *

Towarzysze Skirmunta znaleźli się w zupełnej ciemności. Gdy cokolwiek ochłonęli z przerażenia, objaśnił ich Skirmunt z miejscowością.

— Będą oni nas gonić, — rzekł, — czy słyszycie, jak bramę wyważają? Teraz drugie drzwi... ha! teraz najsłabsze drzwi na prawo... tam się zawiodą... tam już pusto, bo prowiant tam się zawsze znajdujący mamy w naszem schronieniu. Teraz drzwi na wprost... och! to zgroza... ha! dobrze im!... kara Boga... słyszycie plusk tu zaraz za ścianą? Wpadli w łapkę jak szczury!... A teraz naszych mścicieli oswobodzą. Jaskinia, do której drzwi lewe prowadzą, zawiera same jadowite gadziny, które już od kilkunastu lat tam osadzone, rozmnożyły się niesłychanie. Ha! nie były one przeznaczone dla rodaków, tylko dla obcego nieprzyjaciela... lecz sami na siebie karę Boga ściągnęli... One ich przywitają!.. słyszysz okrzyk przerażenia?.. zemsta dokonana, szczęśliwym się nazwie, kto ze życiem ujdzie!..

Na ostatnie słowa Skirmunta, zgroza przejęła towarzyszy jego, a on tymczasem wyjął krzesiwo i krzemień, skrzesał ognia, zapalił światło... i obecni wydali okrzyk podziwienia! Ujrzano bowiem starego Zdzisława, kobiety zamkowe i innych. W jaskini znajdowały się przepyszne siedzenia, krzesła, kobierce, skóry niedźwiedzie, a wszystko poustawiane i poukładane w największym porządku. Naczynia z prowiantem, z miodem stały przy ścianach. W jednym kącie była rura dębowa, sprowadzająca wodę ze studni. Prócz tego stoły, odzież, broń, kosztowności i wygodny kominek.

Skirmunt przywitawszy się ze Zdzisławem, spojrzał po twarzach nowoprzybyłych, a czytając w ich oczach podziwienie rzekł:

— Dziwicie się, gdyż spodziewaliście się zobaczyć jaskinię pełną gadu i zgnilizny, a znajdujecie się w przepysznej komnacie. Spodziewałem się silnego napadu, a przewidując skutki, ze Zdzisławem to miejsce przygotowaliśmy na przyjęcie wasze. Zapas żywności wystarczy nam na długo, a na świeżem powietrzu też nam zbywać nie będzie.

To mówiąc, odemknął rodzaj drewnianej klapy, a przytomni zobaczyli w suficie mały otwór, którym przebijało się światło dzienne.

— Otwór ten znajduje się w murze zamkowym, — mówił dalej Skirmunt, — a jest tak nieznacznym, że go nikt wyśledzić nie potrafi. Jesteście więc całkiem bezpieczni. Rozgośćcie się zatem i odpocznijcie po tej krwawej potrzebie.

Jakoż strudzeni całonocną rzezią, prawie wszyscy mniej więcej ranami okryci, uczuli znużenie i po małym czasie wszyscy mocnym snem chrapali.

Obudzili się późno, gdyż otwór w suficie był całkiem ciemny, z czego wnosili, że już noc zapadła. Na dziedzińcu cisza; z przyległej jaskini dochodziły ich tylko głuche, słabe jęki... ale już nie wszystkich osób: pewno kilka już umarło.

W tej chwili usłyszano plusk, bełkotanie, a potem tylko jeden głos jęczał. Chociaż to był wróg, który pokutował za swoje zuchwalstwo,

jednakże na odgłos jęków konającego, ścisnęło się serce słuchających. Życzyli sobie wszyscy, aby można uratować nieszczęśliwego. Serce szlachetne nigdy nie jest obojętnem na cierpienia człowieka, chociażby ten był wrogiem.

Jan zdjęty litością, rzekł:

— Skirmuncie, jeżeli można, ratujcie tego nieszczęśliwego człowieka.

— Ja już o tem sam myślałem, — rzekł na to Skirmunt. — Lecz mój kochany Janie, któż mi zaręczy, że on, gdy go wyratuję, nie zdradzi później tajemnych pieczar naszego zamku?

— Niewiem, coby to była za poczwara, którąby taką niewdzięcznością mogła się odwdzięczyć! — rzekł jeden z przytomnych młodzieńców.

— Słusznie mówicie, Skirmuncie, — odezwał się inny, — moglibyśmy wydobyć gadzinę, któraby nas później ukąsiła. Ciekawym, coby on był z nami uczynił, gdyby nas wynalazł, miałżeby też litość nad nami? Niech ginie, jak na to zasłużył!

Tu stary Zdzisław zatrząsł prawicą i rzekł:

— Niedobry z ciebie chrześcianin, młodzieńcze! Tyś urósł chrześcianinem, a nie wiesz, że nasz Zbawiciel naucza miłować nieprzyjaciół naszych. Młodzieńcze! gdym ja jeszcze był poganinem, nie słyszałem o podobnie twardem sercu, o sercu, któreby się nie litowało nad nieszczęśliwym lub zwyciężonym nieprzyjacielu. Wroga bij, póki ma broń w ręku, lecz gdy ją położy... wtedy kochaj w nim człowieka. Takeśmy dawniej poganie mówili. Teraz jako chrześcianin kocham w bezbronnym wrogu nie tylko człowieka, ale przyjaciela mego... Ale ty jesteś chrześcianinem z imienia, a poganinem w sercu. Skirmuncie, ratuj go.

Nikt nie śmiał się temu sprzeciwić. Skirmunt przystawił drabinę do ściany, wziął światło i wszedł na drabinę. Nacisnął w ścianie tajną sprężynę, odskoczyły małe drzwiczki, a w otworze Skirmunt zniknął.

Kto ma odwagę... tu do mnie! — ozwał się Skirmunt za ścianą.

Jan i inni wbiegli. Nieczyste powietrze ozionęło ich tak dalece, że uczuli zawrot głowy. Widok, jaki im się przedstawił, napełnił ich przerażeniem. Stali na małej galeryi, a pod ich stopami stał człowiek po pas w wodzie, na której cztery trupy pływały... trupy białe, nabrzmiałe, wydęte.

Żyjący na widok światła podniósł rękę ku oczom, ale ta omdlała, padła znowu na wodę.

— Czy już umarłem? — wyjęknął, — czy wy jesteście anieli? czy czarci?

— Anieli jesteśmy, ale w ludzkiem ciele... niesiemy ci pomoc — rzekł ktoś.

Nieszczęśliwy chciał coś mówić, padł na kolana, lecz woda sięgnąwszy mu wyżej ust, zamieniła mowę jego na bełkotanie.

Zerwał się znowu.

— Zbliż się nieszczęśliwy! — zawołał Jan, nie mogąc znieść widoku męczarni.

Z trudnością przybliżył się biedak do galeryi, wzniósł rękę, którą Jan uchwycił... była zimna jak lód... a skoro go Jan wyciągnął na galeryę, runął bezwładny u stóp jego. Chciano go zaraz znieść na dół, lecz Skirmunt kazał zaczekać, a oto nowy przedstawił im się widok.

Skirmunt schwycił rodzaj dźwigni, nacisnął nią przyrząd z drzewa... nagły huk... czarna przepaść otworzyła się pod ich nogami. Chwilę głucha cisza... nareszcie trzask, łomot spadającej wody wionął do góry cuchnącym wyziewem. Skirmunt opuścił dźwignią, a podłoga znów się zawarła. Wyjął potem w murze tkwiący szpunt, woda strumieniem rzygnęła i wnet napełniła jaskinię.

— Ta woda przypływa z fosy, — pouczył Skirmunt, — a odpływa dołem, podziemnym kanałem do rzeki, gdy się klapy podłogi otworzą.

Zdumieni, przerażeni, wzięli omdlałego człowieka i znieśli go na dół. Drzwiczki się za nimi zawarły, że ani śladu nie pozostało. Przyniesionego ogrzano ciepłemi skórami, wlano w usta ciepłego napoju.... otworzył oczy. Wpadł potem w długi, mocny sen; obudziwszy się przyjął posiłek i dzięki mocnej budowie ciała, przyszedł w kilka dni do zupełnego zdrowia.

Byłto silny, wysoki, barczysty młodzian. Skirmunt kazal mu przysiądz, że tajemnicy pieczar zamkowych nie zdradzi — młodzian przysiągł.

Nikt nie żałował, że go od śmierci niechybnej uratowano.

Taki koniec wzięła wyprawa Różewskich; około trzystu ludzi życie utraciło, już to od broni, już to od gadzin. Jednak Michał zemsty swej nie dokonał, owszem stracił przyjaciół, między nimi własnego stryja... Wielkie są wyroki

Bozkie! Ludzka siła nic nie znaczy, skoro Bóg swym orężem przeciwko niej włada!

ROZDZIAŁ IV.

Pora była bardzo wilgotna. Deszcze tak popsuły drogi, że trudno było ujechać; gościńce stały się kałużami, a konie wlokły się z trudnością, grzęznąc po kolana w błocie.

Traktem izmałowskim jechało zwolna trzech jeźdźców. Wszyscy trzej prawie równo byli ubrani. Najstarszy z nich wiekiem miał pod czarnym płaszczem kaftan z bawolej skóry, który mu pierś pancerzem uzbrojoną zakrywał. Od pasa spływała aż do kostek krzywa szeroka szabla, a za pasem miał zatknięty puginał z bogatą rękojeścią. Czapka barania okrywała czoło do połowy, gęsta broda powiewała z wiatrem, a dwoje bystrych źrenic zwracało się co chwila na towarzysza jadącego środkiem gościńca. W środku jadący mężczyzna miał również czarny płaszcz przez ramiona przewieszony, kaftan nader obcisły i hajdawery z bogatej materyi. Krótka szabelka i puginał stanowiła jego uzbrojenie. Twarz biała, gładka, pokryta była żywym rumieńcem, którego sprawcą był niezawodnie wiatr, jeźdźcom w twarz prosto wiejący. Jeździec ten zdawał się być bardzo młodym, gdyż twarz miał tak świeżą, niby dziewica, a porostu na niej ani śladu. Drobnemi rączkami trzymał cugle rumaka, który dumny swym ciężarem, podniósł łeb w górę i pysznie spoglądał na swych towarzyszy.

Trzeci mężczyzna, jadący po lewej stronie gościńca, był młodzian wysoki, czerstwy. Ubiór miał taki sam, jak pierwszy jeździec, uzbrojenie też nie różniło się niczem od pierwszego, tylko że miał jeszcze przez plecy przewieszony łuk i sajdak ze strzałami.

Droga prowadziła u stóp Karpat górzysta; raz szła w górę, to znów w głębokie spuszczała się doliny. Karpaty okryte lasami zasłaniały widok z prawej strony; z lewej zaś strony rozciągała się przed okiem jeźdźców niezmierna płaszczyzna, zasiana rozlicznemi wsiami, wioskami i osadami. Srebrny Seret wił się wśród niej jak długa, srebrem tkana taśma w niezliczone sploty — wielka ilość pomniejszych rzek i rzeczułek, wlewając weń swe wody, krajały płaszczyznę na wiele cząstek. Bujne niwy, chaty otoczone wyniosłemi drzewami... cała okolica przedstawiała się oku jeźdźców, jak żywy obrazek. Tu i tam widać było kilka drewnianych domów, a czasem dolatywał zdala ryk bydła i gwar ludzkiej rozmowy.

Jeźdźcy w milczeniu postępując, spoglądali na rozwijający się przed ich okiem widok, który im uprzyjemniał dokuczliwą podróż. Jakiś szmer dolatywał do ich uszu, a w miarę jak się zbliżali do jodłowego lasu, który się przed nimi rozciągał, szmer się coraz powiększał. Podjechali bliżej... już nie szmer, ale szum; przyjechali do lasu... już ów szum zamienił się w przeraźliwy łoskot; snadź potok z gór spadający tak huczy.

W istocie tak było. Była to rzeka Bystrzyca, tworząca tu w tym lesie dość znaczny wodospad. Przed oczyma jeźdźców rozwinął się niedługo prześliczny widok, tak, że przystanęli, aby ów cud natury oglądać. Spadający potok ze znacznej wysokości ciskał w górę pianę, że jeźdźcy, chcąc się ze sobą porozumieć, głośno krzyczeć musieli. Nasyciwszy się tem widokiem, postanowili poszukać miejsca zdatnego do przejazdu.

— Jerzy! — zakrzyknął starszy mężczyzna, — podjedź pod górę, a ja na dole zobaczę, czy jakiego przejazdu nie znajdę.

To mówiąc, rozjechali się cwałem; wkrótce zjechali się napowrót.

Tu dołem można przejechać, — rzekł starszy z nich, — woda jest wprawdzie bystra, jednakże nie tak, jak górą. Maryo! będziesz miała dość odwagi rzucić się w odmęt? Nie miej obawy, rumak dobrze pływa.

— Nie lękam się, — odrzekła Marya.

Pomimo, że Marya nie chciała się do obawy przyznać, zdradziło ją drżenie na całem ciele. Dostrzegł to wnet Adam, wyrzucając sobie w duszy, że się odważył namawiać Maryą, aby się sama w wodę rzuciła. Wyjął ją więc z siodła i posadził na swego konia przed siebie, czemu się Marya bynajmniej nie opierała. Usiadła i zarzuciła mężowi ręce na szyję. Jerzy schwycił luzaka za cugle... woda zaszumiała i wnet zanurzyły się konie w wodzie, wytykając tylko nozdrza po nad powierzchnią. Jeźdźcy wznieśli się na strzemionach, a Adam podniósł Maryą na rękach w górę, aby się nie zanurzyła. Rzeka była w tem miejscu na trzydzieści sążni szeroka i na kilka łokci głęboka. Prąd wody był bar-

dzo silny; jeszcze bowiem do środka nie dopłynęli, a już ich woda na jakie pięćdziesiąt łokci od linii prostej ugnała.

Nagle luzak począł rzać, wierzgać i rzucać się, usiłując na wznak się przewrócić. Jerzy w obawie, aby go koń w głąb nie pociągnął, puścił cugle; luzak zarżał, wznak się przewrócił i zniknął pod wodą. O kilkadziesiąt kroków dalej znów się pokazał, zachrapał i zatonął. Struchleli jeźdźcy, zgroza Maryą przejęła, a serce jej mocno biło.

Wkrótce dotarli do brzegu. Zmęczone konie potrzebowały spoczynku, zwłaszcza koń Adama, który odtąd miał dwóch jeźdźców do noszenia.

Że wszyscy byli przemokli i trzęśli się od zimna, przeto Jerzy nazbierał w lesie gałęzi, zbudował szopę, i nasi trzej wygnańcy rozłożyli się w niej na pierwszy spoczynek w ich tułactwie. Zapalony ogień rozgrzał ich zdrętwiałe członki. Od wczoraj nic nie jedli, a zapasów żywności nie mieli. Adam czuł to bardzo dobrze, że Maryi głód dokuczał, pomimo, że ona żadnem słówkiem się nie zdradziła. On i Jerzy bowiem, chociaż do niewygód przyzwyczajeni, poczęli głód uczuwać, a cóż dopiero Marya, która nigdy nie doznawała niewygód podobnych!

Adam dał znak Jerzemu; ten wziął łuk, wyszedł i zniknął w lesie. Napiął łuk i począł się za zwierzyną oglądać. Nie wyszło chwil kilka, dwie sarny przebiegły, strzała świsnęła za niemi, i jedno zwierzę stało się łupem Jerzego, który je szybko pochwycił i zaniósł do szałasu. Niedługo potem kawał sarniny obracał się na dębowym rożnie, rozszerzając na około woń przyjemną, mianowicie dla czczych żołądków. Jerzy świadom sztuk obozowych, tak doskonale pieczeń sporządził, że Marya zapewniała, iż jej nigdy tak nie smakowała... niezawodnie głód dodał pieczeni przyprawy.

Wygnańcy wypocząwszy puścili się w dalszą podróż. Po kilku dniach stanęli w Izmaiłowie i postanowili oczekiwać karawany, która przychodziła od morza baltyckiego traktem, na Smoleńsk i Kijów. Adam i Jerzy przywdziali pielgrzymie szaty, a Marya ubrała się w suknie jej płci właściwe. Po niejakim czasie nadeszła oczekiwana karawana, a z nią puścili się wygnańcy do Carogrodu, gdzie ich statki do Tyru odpływające oczekiwały. Marya z bijącem sercem wstąpiła na okręt, a mężczyzni okiem załzawionem spojrzeli raz jeszcze ku Polsce. Podniesiono kotwicę, wiatr zadął w żagle, a statek „Syrena" lotem strzały poniósł ich ku brzegom Palestyny.

Około dwudziestego dnia podróży znajdował się okręt w pobliżu wyspy Cypru. Dzień był pogodny, wiatr północno-zachodni dął całą siłą w rozpostarte żagle, a okręt, niby ptak morski, pruł piersią powierzchnię morza. Już od niejakiego czasu widziano w tyle dwa czarne punkta na morzu, które się coraz powiększały. Na drugi dzień owe dwa punkta były już o wiele bliżej, tak że można było w nich rozpoznać dwa lekkie statki.

— Korsarze! — zakrzyknął majtek z kosza, a załoga okrętowa struchlała. W istocie byli to korsarze, czyli rozbójnicy morscy. Ujść było zapóźno, gdyż statki korsarskie nierównie mniejsze i do szybkiego pływania urządzone, doganiały „Syrenę" coraz bliżej. Uszykowano się więc do obrony. Machiny do rzucania kamieni, zwane kusze, ustawiono na pokładzie, w koło poręczy stanęli najlepsi łucznicy i zastawili się belkami, aby nie być nadto wystawionymi na strzały. Reszta mężczyzn stanęła do pomocy przy machinach i żaglach. Kobiety i niezdatnych do boju pochowano po dolnych kajutach.

Wieczorem wiatr ustał... cisza... nagle wiatr zwrócił się od południa, jakby chciał Syrenę w biegu powstrzymać i wydać ją w ręce zbójeckie. Trzeciego dnia przybliżyli się korsarze na odległość strzały. Wiatr zupełnie ustał, powierzchnia wody zdawała się być wielkiem zwierciadłem. Korsarze i Syrena spoglądali na siebie, jakby chcieli odgadnąć, czy walka będzie krwawa i czyja będzie wygrana. Korsarze pierwsi zaatakowali. Chmura strzał sypnęła się z trzaskiem na Syrenę, a pomiędzy strzałami wielki kamień, który spadając na kuszę, zdruzgotał belkę potrzebną do wyrzucania kamieni. Jęk rannych odezwał się wnet na pokładzie, a to powiększyło zawziętość podróżnych. Strzaskaną belkę wnet nową zastąpiono, wielki kamień skierowany na okręt korsarski wypadł z machiny i tworząc łuk w powietrzu, uderzył w główny maszt, który runął złamany w połowie. Zawyli korsarze z wściekłości, a podróżni odpowiedzieli głośnym wybuchem radości i chmurą pocisków. Tymczasem nowe pociski, kamienie i inne przedmioty sypały się gradem na

Syrenę, na której wnet maszt zwalono i korsarze podsunęli się aż pod same jej boki. Że korsarze byli grubemi blochami zasłonieni, przeto rzucane ze Syreny pociski mało im szkodziły, kiedy podróżni, nie tak dobrze zasłonieni, ogromne ponosili straty.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

GAWĘDZIARZ.

KARA PO ŚMIERCI.

W szynkowni w Hostonicach rozlegał się głośny hałas. Siedziało tam przy kuflu trzech birbantów, którzy nieustannie pijąc już od dni trzech, tak sobie podchmielili, że nawet granic przystojności szanować nie umieli. Usługiwała im niewiasta, która od ojca dziecięcia swego była opuszczoną. Z tej oni sobie drwili, a ona przyjmowała w milczeniu i cierpliwości ich rubaszne słowa, bo to hojni byli goście, którzy ją zawsze małym datkiem pieniężnym opatrzyli, ile razy szynkownię opuszczali. Ta tedy kobieta powracała właśnie z pełnymi dzbanami z piwnicy, gdy jeden z kuflarzy odezwał się do niej:

— Czy już przykrawasz płótno na pieluchy dla twego bękarta?

Kobieta spuściła oczy i rzekła:

— Panie, ja nie mam lnu na polu; nie mam prawdziwie na czem położyć tego biednego robaka.

Wtem się podniósł drugi z pijaków, człowiek lekkomyślny i niedowiarek — i rzekł do niej:

— Dam ci podarunek i to nie mały dla twego dziecka, lecz musisz uczynić co zażądam.

— Jeźli nie zażądacie nic takiego, coby było nad siły moje i sprzeciwiało się sumieniu mojemu — odrzekła ożywiona nadzieją kobieta, chętnie wykonam, co rozkażecie.

— Nic tak trudnego nie zażądam! Przynieś mi szkielet stojący przed bramą kościoła!

Słysząc te słowa kobieta zadrżała ze strachu i blada jak ściana, odpowiedziała smutnie:

— Panie, nie czyńcie sobie tak okrutnej igraszki z nieszczęśliwej i nie kuście Boga takiemi bluźnierstwy! Dwaj drudzy atoli pijacy, pochwalając krzykliwie żądanie swego towarzysza, wydobyli pełne sakiewki, wysypując z nich pieniądze i zawołali:

— Czy to nie wspaniały wiązarek dla twego dziecięcia?

A trzeci pijak, który był wyrzekł owo żądanie, dołożył sakiewkę do pieniędzy na stole rozsypanych, mówiąc:

— Tu jest moja składka! Namyśl się prędko: nie zawsze ci się nadarzy sposobność tak lekkiego zarobku.

Widok bogactwa, jakiego jeszcze nigdy nie widziała, złudził biedną kobietę; myśl że jednym czynem śmiałym wydobyć się zdoła z nędzy, dodawała jej odwagi. Myślała sobie, że jeśli tem zgrzeszy, pojedna się z Bogiem, skoro część nagrody złoży kościołowi w ofierze. Przychyliła się więc po długiem wahaniu do żądania pijaków, uklękła przed obrazem ukrzyżowanego Zbawiciela i pokrzepiona gorącą modlitwą, puściła się w niebezpieczną drogę.

O stojącym trupie, czyli szkielecie owym dziwne w okolicy obiegały wieści. Miał to kiedyś być rycerz z swej niecnoty daleko znany,

Ten wydarł szlachetnej dziewicy niewinność i cnotę i opuścił ją: czem zmartwiona biedna ta ofiara występku, umarła, nosząc właśnie owoc błędu pod sercem swojem. Dziewica ta umierając, pozwała go w przeciągu roku przed sąd Boży. Pochowano ją w Hostonicach, w grobie familijnym, do którego wejście było tuż przy bramie kościelnej. W rok umarł dziki rycerz i pochowano go na cmentarzu hostonickim. Na zgrozę gminy opuścił tenże rycerz w nocy swój grób, i znaleziono go stojącego z złożonemi rękoma przy wejściu grobowem dziewicy. Wieść niosła, że i ona nie ma pokoju w grobie, i że siedząc w trumnie, czyta przy świetle lampy w dużej księdze. Zmarły rycerz stał przy grobie, aż wszystko ciało z niego opadło i kościotrup tylko pozostał. Pochowano go jeszcze kilkakrotnie z wszystkiemi ceromoniami kościelnemi, bo się go ludzie okoliczni bali; lecz następnego dnia zawsze znowu go znajdywano na dawnem miejscu, stojącego przed grobem, z rękami złożonemi. Mówiono, że po śmierci błaga o przebaczenie, którego gdy nie uzyska, stać będzie musiał do dnia sądnego. Ludzie nawykli nareszcie przechodzić obok straszliwego szkieletu do kościoła, a gdy wieki przeminęły, zdarzenie owo jako wieść tylko opowiadano, której niejeden z młodszego pokolenia niedowierzając, wyśmiewał się. Do tych niedowiarków liczyli się i owi trzej birbanci, którzy w swawoli swojej wysłali niewiastę z szynkowni po szkielet.

Gdy wyszła z domu, już zmrok był zapadł; szła krokiem bojaźliwym przez wieś ku kościołowi stojącemu na wzgórzu, a im bardziej się do niego zbliżała, tem bardziej biło jej serce. Gdy przybyła na wzgórze i szła ku cmentarzowi, odezwał się z wieży dzwonek wieczorny, wzywający pobożnych chrześcian do modlitwy. Niewiasta przeżegnała się, zmówiła ze skruchą Zdrowaś Marya. Gdy weszła na cmentarz, było już ciemno, a blade światło księżyca wschodzącego oświecało tajemniczym blaskiem krzyże drewniane na grobach, na których tu i owdzie świeże wieńce wisiały. Cienie tych pomników ziemskiej znikomości łączyły się na murze kościelnym w dziwaczne kształty, a cienie chmur mijających księżyc przesuwały się po nad grobami, jak duchy przywołane dzwonieniem wieczornego głosu. Niewiastę dreszcz przeszedł, lecz spieszyła naprzód, i niezadługo przebiegłszy cmentarz, była przy bramie kościelnej. Tam stał ów straszliwy szkielet, obrócony do dużego kamienia, zamykającego wejście do sklepienia grobowego; ręce miał złożone, a promienie księżyca igrały na obliczu jego, tak że biednej kobiecie zdawało się, jakoby odarte z ciała szczęki się poruszały, szepcząc pacierze. Niewiasta, drżąc ze strachu, o mało co nie upadła na ziemię, lecz nadzieja bogatej nagrody dodawała jej odwagi; zebrawszy wszystkie siły swoje do stanowczego czynu, uchwyciła szkielet i wziąwszy go na plecy, biegła z nim jak najśpieszniej ku szynkowni. Szkielet klekotał przy każdym kroku, i nim go niewiasta przyniosła na miejsce, tak była strachem przejęta, że jej się w głowie mąciło i mimowiednie tylko biegła, trzymając konwulsyjnie szkielet rękami. — Wreszcie dostała się szczęśliwie do domu, zrzuciła szkielet na stół, a sama upadła jak nieżywa na ławę.

Wszyscy struchleli i oglądając w milczeniu szkielet, podziwiali zarazem śmiały czyn niewiasty. Trzej hultaje zadrżeli, widząc kości szkieletu przed sobą rozpostarte; spodziewali się że niewiasta wróci z niczem, i już się przygotowali do należytego jej wyszydzenia. Ten od którego wyszła propozycya, pierwszy przerwał milczenie i rzekł:

— W rzeczy samej, niewiasta nagrodę swoję rzetelnie zarobiła!

— Niech ją sobie weźmie i usiądzie z nami.

(Dalszy ciąg nastąpi.

KLARA
CZYLI
ZWYCIĘZTWO CNOTY.

POWIEŚĆ.

NAPISAŁ

X. KANONIK SZMID.

(Ciąg dalszy.)

Rycerz zdawał się być uderzony powagą Klary, z jaką wyrzekła te słowa. Gertruda zaś zawołała służącej i rozkazała jej z przyciskiem, by zaraz przyniosła ubiór panny Klary.

Służąca odpowiedziała z udanym ambarasem, iż rozumiejąc, że panna Klara nie przywdzieje już tych rzeczy, które i tak bardzo były niestósowne dla towarzyszki jaśnie państwa, bo były znoszone i połatane, dała je żebraczce, która stała u bramy zamkowej. Że przeprasza bardzo za tę śmiałość, i jeżeli panna Klara tego wymaga, sama jej tę szkodę powróci.

Gertruda udawała bardzo rozgniewaną i łajała ostro służącą, z którą jednakże całe to zajście umówionem było. Lecz Klara zmieniła się odtąd widocznie. Stała się milczącą, a w odpowiedziach swych zimną i dumną prawie. Pytała się codziennie, czy jeszcze nie może dostać się do matki. Gertruda przedstawiała jej coraz to nowe trudności.

— Ludzie Artura jeszcze nie wyleczeni, mówiła, a wysłanych na zwiady posłańców zapewnie schwycił nieprzyjaciel. Niepodobno bowiem wytłumaczyć sobie inaczej, dla czego nie przybywają pachołkowie z innych zamków rycerza Artura. Rycerz sam skarżył się, iż musi niby więzień siedzieć w własnym swym zamku.

Tymczasem giermkowie znosili częste wiadomości o ukazujących się wśród lasu nieprzyjacielskich pachołkach, mówiąc, iż wkrótce można się spodziewać oblężenia.

Klara jednakże powziąwszy raz podejrzenie co do charakteru rycerza, nie dała się tak łatwo odurzyć. Uważała uważniej na postępowanie Artura, i rozbierała w myśli jego słowa. Ten zaś stawał się coraz śmielszym. Mówił o miłości, nawet o małżeństwie. Groził jej, że sobie życie odbierze, jeżeli mu odmówi swej ręki. Klarę bardzo to trapiło, lecz nie wątpiła jeszcze o jego miłości, i litowała się nad nim. Jego oświadczenia miłosne zdawały jej się tylko bardzo nierozsądnemi. Bo wiedziała dobrze, że rycerz z tak znakomitego, jak Artur rodu, nie mógłby się nigdy żenić z ubogą dziewczyną, której ojciec nie był nawet szlachcicem. Nie myślała wprawdzie, aby ją chciał oszukać, ale wiedziała, iż nie umie panować nad swą namiętnością, a dla tego zdawał jej się niegodnym zaufania.

— O jakże innym był Rudolf, pomyślała często. Ten nie pochlebiał, nie groził i nie obiecywał, czego dotrzymać nie mógł.

Tak, jak porównywała często Artura z Rudolfem, tak samo w myśli stawiała Gertrudę obok swej matki. Prawda, że trudno byłoby być więcej uprzejmą, jak Gertruda była dla Klary, jednak w jej twarzy było coś tak fałszywego i przykrego, iż czuła do niej odrazę, której sama sobie wytłumaczyć nie umiała. Nawet słodki i przyjazny uśmiech, zawsze igrający na zwiędłych ustach Gertrudy, wzbudzał niechęć i obojętność w sercu Klary. O jakże inną była jej matka! Jedno jej tkliwe spoj-

rzenie przemawiało do głębi jej duszy i napełniało jej serce niebiańską rozkoszą.

Klara zostawała odtąd częściej jeszcze samotną w swoim pokoju. Błagała gorąco Boga, by ją oświecił względem Artura i jego ciotki, i co ma czynić, by ujść z ich sideł. Często wychodziła do ogrodu zamkowego, by ujść przynajmniej na chwil kilka z nienawistnych jej murów. W kącie ogrodu, blizko wieży zamkowej, znajdował się krzaczek różany, który okryty był kwieciem, lubo jesień już się zbliżała, bo tam w górach kwitnęły później wszystkie kwiaty. Klarę cieszyły bardzo piękne róże, i codzień zdobiła świeżym ich pączkiem swe sploty.

Pewnego wieczora, gdy znowu przyszła do krzaka, zastała tam starego odźwiernego, poważnego starca, z siwą aż do pasa brodą. Ten spojrzał okiem pełnem litości na Klarę, wskazał jej potem piękny, rozkwitujący pączek róży i rzekł:

— Lube dziecko, teraz podobną jesteś temu pączkowi. Potem wskazał ręką na zwiędłą, gąsienicami stoczoną różę i rzekł: Patrz, do tej tu róży chcą cię uczynić podobną źli ludzie. W złe się dostałaś ręce. Miej się na baczności, biedne dziecię. Nie zapominaj o Bogu i Jego wszystkowidzącem oku, módl się gorąco do Niego — a nie wydaj mnie z tego, co ci powiedziałem.

Chciał mówić więcej, ale Gertruda, która ciągle miała Klarę na oku, nadbiegła w tej chwili.

— Strzeż się tej kobiety, dodał jeszcze starzec po cichu, ona nie jest ciotką rycerza, lecz....

Nie mógł dokończyć, bo Gertruda już stanęła przy nich. Słowa starca trafiły do serca Klary. Podziękowała mu spojrzeniem łez pełnem i całą noc oka zamknąć nie mogła, a nadchodzący ranek zastał ją jeszcze klęczącą z złożonemi rękoma, pogrążoną w gorącej modlitwie o ratunek i wybawienie.

Nakoniec Klara przestała się modlić i stanęła przy oknie, by odetchnąć świeżem powietrzem po nocy spędzonej bezsennie. Niebo zaczęło dopiero rumienić się na wschodzie, lecz było już dość jasno, by rozróżnić wszystkie przedmioty. Słowa starca odzywały się ciągle w jej duszy. Spojrzała w niebo z okiem łzą zroszonem i rzekła wzruszona:

— O Boże, jak uciśnioną jest dusza moja! Jakaż dręczy ją tęsknota. O wybaw mnie z tego zamku! z mocy tego rycerza. Winnam mu wprawdzie wiele wdzięczności, iż mnie ocalił z rąk zbójców, lecz iż tę nieszczęsną powziął do mnie skłonność, jest to wielkiem nieszczęściem! O Boże, przemień te jego uczucia!

Tak rozmyślając usłyszała Klara na podwórzu tętent koni, które pachołkowie prowadzili do pojenia przy studni stojącej na podwórzu, na które wychodziły okna jej sypialni. Obok studni stał człowiek z biczem w ręku, bogaciej ubrany od innych. Postać jego uderzyła Klarę; przypatrywała mu się baczniej, i o nieba! cóż uczuła, gdy poznała w nim owego uzbrojonego człowieka, który ją porwał na dolinie i zawiódł w głąb lasu. Były to te same dzikie, czarne oczy; ten nos orli, ta broda kudłata, ta postawa harda i odważna. Okropne światło rozjaśniło się przed jej oczyma. Rycerz Artur mówił jej często, iż rabuś, który ją porwał, poległ na placu. A teraz widziała, iż ów rabuś był przełożonym nad ludźmi jego. Teraz dopiero pojęła wszystko.

— Ach! zawołała, rycerz Artur nie jest moim wybawcą, lecz moim uwodzicielem.

Cała drżąca upadła na krzesło i poczęła rozmyślać nad swym losem. W tej chwili wszedł Artur do pokoju, życząc jej dzień dobry. Klara była tem bardzo obrażona. Duma i uczucie dziewiczej godności ozwały się w jej sercu. Przewaga, którą niewinność wywiera zawsze na swym ciemiężycielu, dodawała jej powagi i godności, które zmięszały widocznie Artura. Nie podziękowała mu za jego pozdrowienie i spojrzała na niego okiem tak pełnem bolesnego wyrazu, iż to spojrzenie przeszyło go do głębi duszy.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

TANIE LECZENIE DOMOWE ROZMAITYCH CHORÓB.

(Ciąg dalszy.)

Rzepik ziele, Agrimonia, rośnie na łąkach i przy drogach, ma pręt wysoki i chróstowaty, liście ząbkowate i na wierzchu ma kwiatki blado żółte, w tych nasienie podłużne, kosmate i ostre, szat się chwyta. To ziele ugotowane na dworską chorobę jest bardzo zachwalone,

Rzeżucha ogrodowa, lub dzika po mokrych miejscach rosnąca, obydwie służą do zdrowia, gdyż czyszczą krew i służą na szkorbut.

Rzęsa wodna, która pływa na stojącej wodzie. Wódka z niej dystylowana, służy na zapalenie wątroby i śledziony; także spędza czerwoność z miejsc tajemnych.